Nr. 3. (z „Dźwignią" 5.) Lwów — dnia 15. marca 1900. Rok II. (VII.)

NOWY
FAUN
Pismo gwoli uciesze krotofilnej porządnych ludzi.

„Nowy Faun" wychodzi naprzemian z pismem przemysłowo-handlowem i społecznem „Dźwignią" regularnie co 1go i 15go każdego miesiąca.

Prenumerata na oba pisma wynosi:

rocznie	. . .	6 K. — h
półrocznie	. . .	3 „ 20 „
kwartalnie	. . .	1 „ 70 „

Redakcya DŹWIGNI i FAUNA: Lwów, Jagiellońska 17.

Wun sze psizwyczaja...



— Mojsie! ta na co ty czymasz palec w szklance z wodą?

— Ny, ja czymam dlatego, bo mi doktor kazał wziąść kąpiel, to ja sze powoli do wody psizwyczajam!

Do czytelników.

Nr. 4. *Dźwigni* wyjdzie znacznie przed 1. kwietnia zaś następny numer *Fauna* z powodu świąt wyjątkowo wcześniej, t. j. dnia 8 **kwietnia** b. r. i będzie w tymże dniu rozesłanym wszystkim prenumeratorom, nie zalegającym z przedpłatą za I. kwartał 1900. Ktoby do dnia 5-go kwietnia nie nadesłał przynajmniej **kwartalnej** prenumeraty wynoszącej za oba pisma **tylko** 85 centów, ten nie otrzyma już ani *Dźwigni* ani *Fauna*.

NOWINKI.

Jeżeli prawdą jest co zapowiada *Monitor*, to jeden z najbardziej wziętych żydowskich mecenasów, zostanie wkrótce wziętym do kozy.

* * *

Wiarogodny reporter zapewnia nas, że w „*Rzymskiej* łaźni" przy placu Słonecznym, znalazł ślad po Egipcyanach.

* * *

Budowniczy p. Gołąb zapytany niedawno dlaczego w nowych kamienicach daje coraz cieńsze ściany, odpowiedział: — Głupstwo, że ściany ***cienkie***, kiedy ja codzień ***grubieję***, panie dobrodzieju...

* * *

Jedno z naszych pism codziennych donosi, że skutkiem kilku zwycięztw w Transvaalu, Anglia znajduje się obecnie w stanie poważnym. — No, no...

* * *

Ostateczności się schodzą. W perfumeryi pana Cukru sprzedaje się papier nie do pisania.

* * *

Dziennikarz p. X. wszystkim swoim kolegom szyje ciągle buty — proponujemy mu więc, ażeby czemprędzej porzucił pióro i założył magazyn obuwia.

* * *

Dowiadujemy się, że p. K. właściciel magazynu waty i gutaperki, chce nazwać swój sklep »Magazynem wdzięków damskich«.

* * *

Pani Mateuszowa, przekupka z Łyczakowa, ma zamiar wydawać od dnia 1-go kwietnia 1900 roku nowe pismo.

— Bo i *wielgie* rzeczy! — mówi pani Mateuszowa. — To pismo *tera* jest najlepsze, co się dobrze kłóci, a ja się przecie pewnikiem lepiej od nich wszystkich kłócić umiem.

* * *

Podobno dzięki artykułom »Kurjera« obudził się niedawno z uśpienia w pewnem Towarzystwie pewien fundusz stypendyjny. Pewien radca, spostrzegłszy co się dzieje, w tej chwili funduszowi podsunął pod nos flaszeczkę z chloroformem, i biedne fundusisko znów zasnęło na czas nieograniczony.

* * *

Kilkunastoletnia panna Walewska wycięła sobie w »Przeglądzie« parę fejletonów — w obronie... żydów!

Gęsi wprawdzie ocaliły raz za dawnych czasów Kapitol — ale że panna W. żydów swoimi fejletonami nie ocali, to pewna...



Z wyższych sfer.

Powiedz mi moja droga, czy wybuchnie wojna?
Pytała księżnej Julii, księżniczka Matylda.
Księżna Julia znawczyni, choć w słowach nie hojna,
Rzekła: — Na balu o to spytaj dziś — Rotszylda.

W sklepie.

Kupiec. — O to najnowsza i najmodniejsza materya. Dziś otrzymaliśmy ją z Paryża.

Dama. — Ale ona nie spełznie?

Kupiec. — Ale cóż znowu. Ona leżała przecie przez półtora roku u nas za wystawą, a jak pani widzi nic nie spełzła.

Nieporozumienie.

Lekarz. — A więc apetytu nie macie nic Walenty. no ale co do pragnienia, to cobyście się chętnie napili?

Chory (ucieszony) — A co tylko pan dochtor każe dać!

Pytania i odpowiedzi
w kwestyach żydowskich.

P. Powiedz mi, czem się żydzi od nas różnią?

O. Tem, że żydzi swoim za życia przychodzą z pomocą, a nasi swoich dopiero po śmierci kochają.

P. Czem się różni lichwiarz od złodzieja?

O. Niezastanowiłem się nad tem. wiem tylko, że obadwa obdzierają i chowają cudzą własność.

P. Jaki jest żydowski zwykły sposób wywyższenia się?

O. Poniżanie się.

P. Na czem podług pojęć panny Colonna Walewskiej zależy szczęście człowieka?

O. Na tem, żeby każdego żyda czcił, kochał i jemu służył.

W szkole.

Katecheta. — Ponieważ ludzie na świecie byli źli, zesłał Bóg na nich potop. Wszystko potonęło a tylko kto się nie utopił?

Uczeń. — Ryby.



ZAPŁAĆ.

Jeżeli chcesz mieć męża — zapłać.
Jeśli chcesz pochwały — zapłać.
Gdy się chcesz urodzić — zapłać.
Jeżeli chcesz umrzeć — zapłać.
Gdy chcesz radnym zostać — zapłać.
Jeśli chcesz orderu — zapłać.
Chcesz dobrej opinii — długi płać.
Gdy chcesz Fauna dostać — zapłać...
— A za Dźwignię — także?
— A jakże.)*



Feralny dzień.

Monolog starego kawalera.

(Na estradę wchodzi pan Fąfelkowski, właściciel kamienicy na przedmieściu, mężczyzna otyły, siwy z piękną łysiną a silnie podczernionemi wąsami, w szlafroku, nieco zgarbiony).

No, no, to niema co gadać, są w życiu dni feralne! a wczoraj, proszę państwa, był taki dzień u mnie; jak sobie przypomnę to... ojoj... aż mi ciarki chodzą po krzyżach. Nie jestem ja zabobonny, nie, — choć to nawet wielki Napoljon pono wierzył w zabobony — ale wczorajszego dnia, to przyznam się w sekrecie, bałem się już od dawna. Bo to po pierwsze *(rachuje na palcach)* było wczoraj 13-go — raz, ten szelma Falb zapowiedział oprócz tego *ekstra* dzień krytyczny pierwszego gatunku — dwa, do tego poniedziałek — trzy. Prócz tego mieli zjechać do mnie na 2 dni Świderscy z Koziej Wólki — po południu, a rano miałem termin do sądu. Bo choć to człowiek ma niechwalący się kamieniczkę i chciałby żyć spokojnie z dochodów, to gdzie tam — nie może!

Mieszkali ci w moim domu w kawalerskim pokoju dwa: malarz i dziennikarz pan Ignacy. Malarz biedak, ale chociaż spokojny; ale ten drugi ananas! oho! Cylinder to nosił, rękawiczki czerwone jak pomidor, bródka w szpic — a kiedy przyszło do płacenia czynszu toci w ramię całuje, a gadał, a gadał, od czynszu się wykręcił — jeszcze (czyby kto dał wiary) naciągnął człowieka na piątkę albo i więcej. No nareszcie miałem dość i zaskarżyłem do sądu; termin był na wczoraj, na dzień feralny.

Już w nocy na wczoraj śniło mi się, żem był chińskim cesarzem i że mnie policyant zaaresztował. Zaprowadził mnie niby do urzędu podatkowego, gdzie mnie pytali ile mam dochodu z kamienicy, co, jak, i wyznaczyli mi podatku 111 milionów koron i coś tam helerów, ażem się spocił. Potem znów jakieś amory mi się śniły, niby że ślub w katedrze brałem. Przypatruję się pannie młodej, a toci jest młodsza Świderska, coto popołudniu miała z ojcem do mnie zjechać. Mówię młodsza, bo jest ich dwie, mają obie po trzydzieści z okładem. Potem śnił mi się sąd i inne awantury, dość żem się obudził w zimnych potach. Była godzina ósma.

— Jan! wołam na stróża co mi usługuje, — dawaj kawę i gazetę!

— Niema Jana — odpowiada mi Kaśka — on dziś ma pogrzeb wytyrański, to si ubrał po oficersku i wyrukował, ale ja panu zrobię kawę.

Oho! źle, — myślę sobie — zaczyna się dzień feralny, wiedziałem bowiem, że Kaśka kawę fuszeruje. Schylam się po gazetę, i pęc głową do poręczy; macam — nie boli, ale guz tęgi jest. Biorę gazetę i czytam: znów Anglików zbili w Afryce. Zgrzyzłem się tem, sam nie wiem czemu, bo z Anglikami mam chyba tyle wspólnego, że lubię „angielską gorżką“ i że za młodu miałem w nogach angielską chorobę. Czytam dalej: przy wyborach zwyciężyli żydzi i socyaliści, to też nie dobrze. Patrzę w kronice i oczom własnym nie wierzę, ale stoi jak mur napisano:

Zwracamy uwagę Szanow. Magistratu na nieporządki w kamienicy Fąfelkowskiego. Rudera ta, którą gospodarz zaniedbuje... itd.

Hultaj Ignacy! to on napisał!

Ciemno mi się robi przed oczami, trzęsącemi rękami biorę kawę i chlap! wylewa mi się gorąca na piersi i za koszulę. Zrywam się oparzony, wyskakuję bosemi nogami wprost na potłuczoną szklankę... Masz dzień feralny!

Opatrzyłem nogę, zalałem ranę arniką i zbieram się bo trzeba wyjść. Wciągam but — ucho się urwało. Dobrze ci tak, mówię sam sobie; nie kupuj butów u jakichś „karlsbadzkich“ cyganów; tańsze to ale kiepskie. Kulejąc ubieram się, ale wszystko mi jakoś przez ten dzień feralny nie idzie! Kamizelka ciśnie, kołnierz, krawat cisną, a do tego w żołądku jakoś dziwnie... Myślę sobie tak: wstąpię do handelku, napiję się sznapsa i minie złe, bo sznaps to nieraz jedyna otucha i pociecha w życiu doczesnem...

Walę tedy do handelku. Wódkę, flaczki przednie, piwko, połknąłem jak to mówią: raz — dwa! i już chcę wychodzić, bo czas do sądu, a tu nowa awantura. Pakuje się do handlu trzech kapitanów od landwery, a trzeba biedy, że jednemu z nich ja niechcący przydeptałem nogę. Jakci skoczy a jak wrzaśnie: „Wasisdas! majne hinerauge“ (niby że nagniotki miał) i dalej do mnie. „Pan szuka zaczepki“ woła „proszę o kartę!“ Daremnie mu mówię — pardon — panie kapitanie — to niechcąco — a on nic tylko „karte“ i „karte“!

Ale że to w biedzie nieraz człowiekowi rozum i pomysłowość dopisze, tak i ja dobyłem pularesa, wyjąłem bilet abonamentowy od golenia, pakuję mu w rękę i nie zapłaciwszy zmykam. Jakem był po obiedzie zapłacić tak mi kupiec opowiadał, że mało nie poginęli ze śmiechu z mojej karty, którą nawet kapitanisko zostawił i kazał powiedzieć, że się sam goli.

Ruszam tedy do sądu.

Wchodzę do gmachu, aliści zapomniałem, w której sali ma być rozprawa. Sięgam do kieszeni po wezwanie — niema! szukam wszędzie — niema! Widocznie zapomniałem w domu. Łaziłem tedy po korytarzach i gankach przez jakie pół godziny, aż spotykam na schodach Ignacego z malarzem. — Zapóźno kwiatku! zapóźno! — zawołał mi w przechodzie. (zobacz str. 5.)

*) Ou wa! co za „zapłać“, skoro oba pisma kosztują razem tylko 85 centów kwartalnie. *(Przyp. zecera).*

WIOSNA NADCHODZI...

Wiosna nadchodzi, tak pełna uroku —
Błyszcząc złotymi słońca promieniami —
Darząc błogiemi świat ten nadziejami —
Czemu mnie witać trzeba ją łzą w oku?

—o—

I znowu kwiaty wonieją na łące —
Ptaszęta piosnki swe nucą na nowo —
Ale w mej duszy już teraz grobowo —
Me serce teraz na wieki milczące. —

—o—

Tracą woń kwiaty, blask słoneczny ginie, —
Przez łzę świat cały mglisty i daleki, —
Kto to co kochał utracił na wieki —
Zrozumie łzę tę, choć nie w porę płynie...

t.



Idę ja do sędziego a on już drugą sprawę sądzi. Kazał mi czekać na korytarzu a potem wychodzi i pyta:

— Co? Fąfelkowski *contra* lokatorom? oho, zapóźno, już tamci sprawę wygrali, boś pan się spóźnił na termin.

Mało mnie szlag nie trafił.

Zgryziony, zmartwiony, już chciałem odchodzić, aż tu jakiś młody adwokacina żydek przystępuje do mnie i powiada: — Jestem mecenas Spassvogel, ja panu dobrodziejowi zrobię apelacyę i proces wygramy. A o co tu chodzi?

— Ano, powiadam, za trzy miesiące czynsz mi przepadł. Jeżeli mecenas powiada że wygramy, to chyba zróbmy tę apelacyję. A dużo to będzie kosztować?

— Nie dużo, mówi, — stempel 20 koron, replika, duplika, apelacyja, podanie, to ze 30 koron, a mnie 40 koron za fatygę, to wszystko razem około 90 koron a może sto.

— Taak? pytam się, — taż oni wszystkiego winni mi 30 złr, tsż to żaden interes!

— No, ale przynajmniej, dobrodziej w y g r a p r o c e s, — pocieszał mnie słodko mecenas. Podziękowałem mu za opiekę, i zły jak sto dyabłów wychodzę na ulicę.

„Na frasunek dobry trunek“ powiadają, sunę więc i ja do Baczewskiego na wódkę. Aż tu w samym progu stoi stary Świderski.

Złapał mnie wpół i ściska.

— W tej chwili przyjechałem — woła — córki odwiozłem do ciebie, a sam na wódeczkę, no i chwała Bogu żem cię spotkał. Przywożę córki bo mają różne sprawunki; trzeba ci wiedzieć że starszą wydaję za mąż.

— Oho — pytam — a to za kogo?

— Za dzierżawcę z sąsiedztwa, tęgiego chłopa; no a znowu moje córki mają po d w a d z i e ś c i a t y s i ę c y, to nie do pogardzenia....

— Jak to? — mówię — obie po dwadzieścia tysięcy?

— A obie. No ale pijmy dereniówkę.

Jak mi powiedział o tym posagu, tak mi ćwieka zabił w głowę porządnego. Nie jestem ja łakomy na cudze pieniądze, ale trzeba państwu wiedzieć, że obok mojej kamienicy jest parcela, na której możnaby dobudować śliczną kamienicę i oficynkę. Na kupno i budowę 20 tysięcy guldenów w sam raz wystarczy, a to już pasya każdego kamienicznika dobudowywać i dokupywać! Tak i ja o tem marzyłem na jawie i we śnie. Jak mi stary o tym posagu powiedział, zamyśliłem się. Córka nie szpetna jeszcze, a ja nie taki stary i zdrów... a możeby tak spróbować?....

Wypiliśmy parę wódek, potem piwka, a tak po godzinie mieliśmy już oba dobrze jak to mówią „na piec“.

Wtedy ja mu opowiadam o parceli i o tem że córka jego mi się podoba, a on na to całuje mnie w pysk (zdrajca!) i powiada „załatwione“! Powiada, że to niby oddawna on i córka mnie chcieli, on za zięcia a ona niby za męża, ale sposobności nie było, więc teraz trzeba śpieszyć. Ot i co!

Wieczór w dzień feralny zrobiłem huczne zaręczyny, oznaczyliśmy dzień zapowiedzi i ślubu i potem oni pojechali nazad do domu. Dziś rano wstawszy dziękowałem Panu Bogu że mi wczorajszy feralny dzień dał tak dobrze zakończyć, aż tu mi listonosz przynosi dwa listy, ot te *(pokazuje).*

W jednym pisze mi stary Świderski:

„Kochany zięciu! do ślubu wszystko przygotowujemy, a i posag Twój 20 tysięcy k o r o n złożyłem w szparkasie....

Bodaj go kaczka kopła!

Ja tu, panie liczę na parcele i budowę 20 tysięcy g u l d e n ó w, a on, panie, rachuje na k o r o n y *(zamyśla się).* Cofać się nie można, dałem słowo! No ale bodaj za 10 tysięcy guldenów parcelę kupię a na resztę zaciągnę pożyczkę i będzie *gut.* Ale zobaczmy co jest w drugim liście *(Otwiera kopertę i czyta)* Donosimy panu, że parcela nasza w sąsiedztwie jego domu już.. *(przerażony)* co? co?... wczoraj sprzedana... *(opuszcza ręce zgryziony, do publiczności z rezygnacyą:)* A co nie mówiłem? to był dzień feralny!

t.

W kawiarnianym siedzę dymie...

W kawiarnianym siedzę dymie
Kawiarniane zbieram wzorki.
Dym układa się w rozwiewne
Odaliski i amorki.
Poncz zaprawny ananasem
Coraz bardziej duszę mroczy
I stłumiony gwar kawiarni
Ciska mi jak mak na oczy.
Północ dawno już minęła
Między ludzi zeszły duchy,
Bile dziwnie coś szczękają
Jak szkieletów łoskot suchy
Jak miarowy stuk pendułu
Co odmierza czas w zegarze
I zmierzywszy ludzkie życie
Na sen wieczny kłaść się każe.
W kawiarnianym siedzę dymie
Kawiarniane aromaty
Struły mi odwagę, życie,
Starły wolę mą na szmaty
Zimną dłoń kładnie Nirwana
Na me serce — jedną ranę,
I kir rzuca powłóczysty
Na me życie zmarnowane.
. . . .
W kawiarnianym siedział dymie
Jeszcze dymek, smuga blada
Z rewolweru się unosi
I na martwe oczy spada.
W kawiarnianym teraz dymie
Jego imię będzie ryte:
Dobry chłopiec — nic nie robił,
Życie zgubił... Finis vitae.

N.

RACYA.

„Po co święcić niedziele — żydek pewien rzecze —
Pan Bóg i bez niedzieli bierze świat w swą pieczę...“
„Replikować — odpowie mu ktoś — nie mam czasu...
Dobrze, zrzeknę się niedziel, ty zrzecz się szabasu!“
Żyd splunął... „Fe, pan czasem ma koncepty brzydki...
Szabes musi pozostać, bo szabes czczą żydki“.



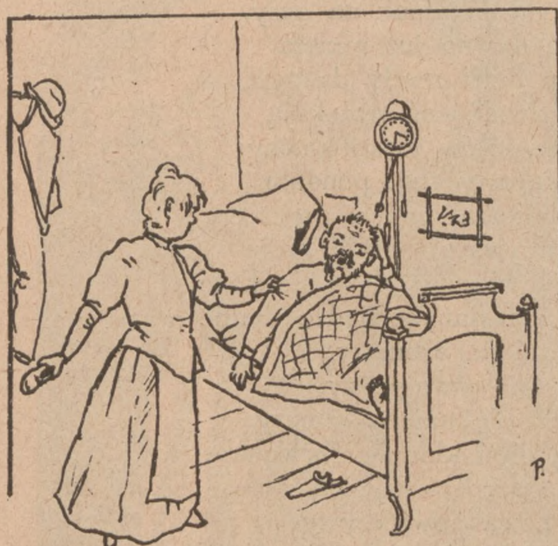
CUDOWNY ŚRODEK.



Wciąż trapi we śnie mara Stacha,
odkąd nań kijem stara macha.



Postanowienie dama chwali:
no i Stach w domu chleje dalej.
. . . .

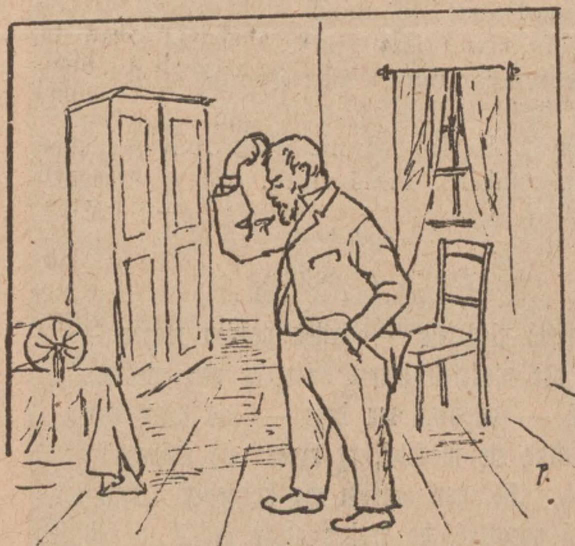


I ciężkie go wyrzuty palą,
odkąd go w łeb pantofle walą.



Lecz gdy tak wciąż gorzały mnoży,
dzieje się w domu co raz gorzej.

I grozi widmo licytacyi
po dokonanej tabulacyi...
. . . .



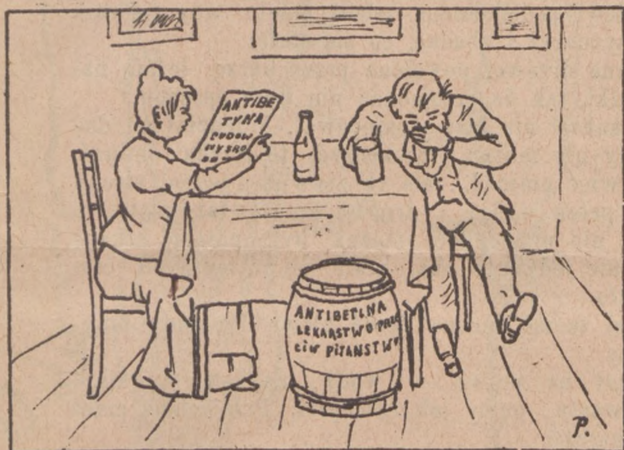
Więc postanawia wczas z knajp znikać
i za to w domu sznapę łykać...

Wstydu i nędzy widmo krwawe
truje Stachowi każdą strawę,
gdy egzekucyi rozkaz czyta...
bo niecierpliwie Icek zgrzyta ..
i nie chce czekać ani rusz . . . . . .
. . . .
. . . .

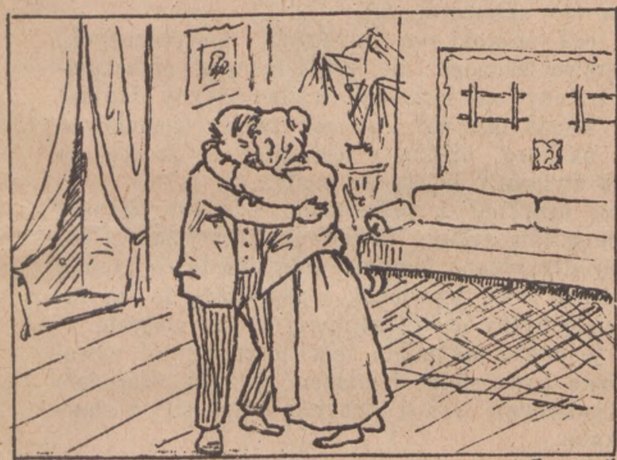
Wtem, gdy już już Stach biedny miał
być wyrzuconym gdzieś na bruk,
nadziei złoty promień świta,
bo zjawił się „antysemita“,
stary przyjaciel — i rzecze mu:
„Trudny dla ciebie ratunek,
bo pieniądz pakujesz w trunek...
Jedną tylko widzę racyę:
Sam odwrócę licytacyę,
ale stawiam ten warunek,
że żydowski rzucisz trunek!...

*

Poskrobał się Stach po głowie
i z westchnieniem tak odpowie:
Dobrodzieju odwróć klęski; lecz warunek twój za ciężki.
ja bez picia tracę minę...
— „A więc pij antibetynę“ —
cny przyjaciel mu odrzecze i wyjmuje sporą flaszę
lekarstwa przeciw pijaństwu, zwanego „antibetyną“



„Trudna rada!“ — Stach powiada;
lecz od biedy słuchać musi;
więc, choć się biedaczek krztusi,
po kropelce co godzinę
łyka wciąż „antibetynę“...



Do miesiąca niezawodny jawił się lekarstwa skutek:
Licytacya — zatrzymana; zbankrutował... szynk
[pod bokiem.
Żonka miłem patrzy okiem...
i wygnany z domu smutek!

Z. Kor.

Jak pan Prot złapał złodzieja.

FAKT PRAWDZIWY.

Pan Prot kapitalista, co we Lwowie mieszka i ma w swojem mieszkaniu gotówkę niemałą, tak się zawsze wizyty lękał rzezimieszka, że często z wielkiej trwogi nie spał przez noc całą.

Obawa jego wzrosła w ostatnich tygodniach, bo w gazetach gdzie wszelkie notują zjawiska, naczytał się sprawozdań o kradzieżach, zbrodniach, i czuł że mu się serce coraz więcej ściska.

Więc w sposób najłatwiejszy, chcąc ukoić smutki, chcąc by go mniej trapiła trwoga dolegliwa, wieczór u Baczyńskiego łyknął kielich wódki i dołączył do niego z dziesięć kufli piwa.

Gdy powrócił do domu dosyć krzywą dróżką, bo sobie nadto głowę zachlapał niebacznie, rzuciwszy tylko futro, kopnął się na łóżko i po kilku minutach zaczął chrapać smacznie.

W kilka godzin skończyło się miłe chrapanie, Prot się ocknął, bo we śnie nie mógł dłużej zostać.— w tem patrzy, a w ciemności, przed łóżkiem przy ścianie, stoi jakaś wysoka i dość tęga postać.

— A złodzieju! — wykrzyknął opuściwszy łóżko — co cię tu dobrodzieju, do napadu skłania?... o! nie ujdziesz mej zemsty!. nauczę cię duszko, co to jest do cudzego zaglądać mieszkania!

I pochwyciwszy w ręce kij zawsze mu miły, który do śmiertelnego byłby dobry ciosu, jął nim z góry złodzieja okładać co siły, lecz złodziej najmniejszego nie wydawał głosu.

Pan Prot widząc, że złodziej za drzwi nie ucieka, że się nawałem kijów wcale nie oburza, krzyknął:

— O! wielkie nieba! zabiłem człowieka!

I co prędzej na ganek wybiegł od podwórza.

A tam pełen straszliwej trwogi i frasunku, wznosząc głos po nad mury, po nad dachów szczyty, zaczął wrzeszczeć:

— Pomocy! policaj! ratunku! spieszcie żwawo! tu u mnie jest złodziej zabity!

Wszyscy domu mieszkańcy, państwo i hołota, gdy ich przebudził ze snu głos ten nieuroczy, wbiegli zaraz ze światłem do mieszkania Prota i oto jaki widok uderzył ich oczy:

Na kołku blizko łóżka, gdzie miejsce dość ciasne, w niedalekiem sąsiedztwie ogniotrwałej kasy, wisiało nowiuteńkie własne futro Prota, które ciosami kija poprzecinał w pasy.

— Gdzie jest trup? gdzie jest złodziej? zkąd te niepokoje? — wykrzyknęli sąsiedzi, co przybyli w... bieli.

— Przepraszam!... to nie złodziej to jest futro moje!

— A bodaj za to pana wszyscy djabli wzięli!

I po takiem przekleństwie do odwetu skorzy, choć Prot przez futra stratę, poczuł ból wątroby, wytoczyli mu proces wszyscy lokatorzy, za to, że ich swym wrzaskiem nabawił choroby.

Pozwany zaś rozumem kierowany próżnym, jakkolwiek może państwo temu nie uwierzą, myśli wytoczyć proces gazetom przeróżnym, że mu nabiły głowę zbrodnią i kradzieżą.



OBRAZKI ZE WSI I MIASTA.

—o—

I.

Przygoda Jankla Gipsa.

Droga ciągnęła się wśród lasu; była wązka i kręta, pełna twardych korzeni, nad powierzchnię ziemi wystających i dołów, w których zbierała się woda deszczowa.

Nie był to gościniec ani trakt publiczny, ale prywatna dróżka przez las, dość uczęszczana jednak, gdyż właściciel lasu przejazdu nie wzbraniał, a jadąc przez nią, omijało się kilka mil piasku i zepsuty most; wlokły się przez nią wózki chłopskie i biedki żydowskie, a czasem nawet spotkać było można na niej i bryczkę, jeżeli szło bardziej o pośpiech, aniżeli o całość własnych kości.

Był ładny wieczór lipcowy, powietrze czyste, świeże, orzeźwiające, tylko co po burzy.

Niebawem słońce zaszło, natomiast księżyc się na niebie okazał, na pierwszej kwadrze księżyc, połowiczny ale jasny, i zapuścił blade swoje promienie między konary drzew, osrebrzył wodę w rowach i kałużach, pokładł blaski wa wilgotnych liściach.

Podczas tej nocy jechał na dwukołowej biedce pan Jankiel Gips, kapitalista-negocyant z maleńkiej mieściny. Pilno mu było, śpieszył się, dążył bowiem na jarmark, a jeszcze kilka mil miał przed sobą.

Na dobrego konia bagatela to, ale szkapa Janklowa była bardzo sfatygowana i niemłoda. Jadała niewiele, a chodziła bardzo powoli.

Jankiel nie mógł długo biczem machać, ręka mu omdlewała i czuł się bardzo sfatygowanym, wetknął więc bicz w słomę, puścił lejce i zakląwszy na swój zły los, postanowił się cokolwiek posilić.

W tym celu nabił swoją porcelanową fajkę tytoniem, zapalił ją i delektował się dymem. Innego środka pokrzepienia sił przy sobie nie posiadał, chociaż biedka jego naładowana była porządnie rozmaitym towarem tak, że musiał dobrze nogi podkulać, żeby się w niej utrzymać. Było w niej pół korca żyta, cała ćwierć grochu, dwa garnki masła i spore żywe cielę. Z tym towarem pan Jankiel Gips śpieszył na jarmark i rozmyślał, a szkapa, łeb zwiesiwszy, wlokła się powoli, niby śpiąca.

Jankiel kombinował, że nawet przy tak małym pośpiechu zdąży na jarmark. Jeszcze niema północy, na piątą rano można dojechać, a jeżeli nie na piątą to na siódmą, w najgorszym razie na dziewiątą, przypuśćmy że na pół do jedenastej, i to będzie sam czas, największy gwałt i ruch.

Pomyślawszy o burzy, Jankiel spojrzał na niebo. jakby w obawie, że ona może powrócić... ale nie, nie zanosiło się na to.

Owszem, gwiazdy błyszczały, jak złote dukaty, rozłożone na jakimś olbrzymim stole, tylko księżyc już uciekał z góry.

Jest trochę chłodno; Jankiel podniósł kołnierz od kapoty, zacisnął mocniej pas bawełniany, fajkę schował w kieszeń, ręce w rękawy i uczuł, że mu się zbiera na sen. Bardzo dobrze, niech się zbiera. Najlepiej jest spać w drodze, właściwie nie najlepiej, ale najkorzystniej.

Jankiel wiedział dobrze, że może zaufać swej szkapie, wtulił więc głowę w kołnierz, czapkę na czoło zacisnął i zdrzemnął się zaraz, a potem usnął na dobre...

W godzinę później księżyc pozazdrościł Janklowi spoczynku i zeszedł z warty; ściemniło się zupełnie, tylko gwiazdki mrugały na n ebie.

Nagle szkapa stanęła... Jankiel się przebudził, krzyknął wio! i po bicz sięgnął... Biedka nie posunęła się naprzód, pomimo krzyku i energicznych razów, i, co dziwniejsza, koń gwałtownie zaczął się cofać. Wydało się to Janklowi podejrzanem, zsiadł przeto, aby się rozpatrzeć w sytuacyi i zbadać, co się stało.

Ogromne drzewo, powalone przez burzę, leżało na poprzek dróżki, tak że przejechać nie było sposobu.

Ale Jankiel nie łatwo ustępował. Wiedział on dobrze, że gdy nie można przeskoczyć, to trzeba ominąć, postanowił więc ominąć... ale tu znowuż z jednej strony dróżki rów pełen wody, z drugiej krzaki tak gęste, że chcąc przez nie przejechać, można było narazić szkapę na postradanie jedynego oka, jakie jej z lepszych czasów pozostało

Jankiel zaczął mocno trzeć głowę i różne obmyślać projekty.

Spojrzał na prawo — woda, na lewo zagajnik sosnowy, zwarty, gęsty jak żywopłot. Przejechać przez niego ani marzyć.

Woda wprawdzie nie może być głęboka, bo nie rzeka to i nie strumień, ale zwyczajny rów; zwykle bywa on suchy, teraz po burzy i ulewie napełniła go woda. Za dwa dni woda zniknie, ale za dwa dni będzie też po jarmarku.

Jankiel biczyskiem badać zaczął, jak woda jest głęboka Nie bardzo, trochę za kolana, nie będzie nawet do pasa, a za rowem las rzadki, można przeklęte drzewo objechać i na dróżkę się dostać.

Wszystko to Jankiel szybko kombinował i postanowił, bądź-co-bądź, biedę swoją przez rów przeprowadzić; nie chcąc się jednak zamoczyć, ukląkł na workach, i nie dowierzając szkapie, wziął krótko lejce do ręki i sam ją na rów skierował.

Rów był szeroki o brzegach niespadzistych, więc przeprawa żadnego nie przedstawiała niebezpieczeństwa i byłaby się doskonale udała, gdyby Jankiel zdał się na koński instynkt, ale jak zaczął spekulować na prawo i na lewo, biedka przechyliła się mocno na bok i cielak związany wpadł do wody...

Jankiel krzyknął z przestrachu i byłby wypadł również, ale cudem jakimś równowagę utrzymał. Uderzył z całej siły szkapę biczem, żeby biedę co rychlej na drugą stronę rowu wywlokła, i pomyślał, że za takie ładne cielę byłby dostał najmniej z ośm złotych.

Cielę jednakże nie miało chęci marnie ginąć w wodze; związane powrósłem słomianem za nogi, szarpnęło niemi instynktownie raz i drugi z całej siły i słabe więzy zerwało.

Przerażone wyskoczyło z wody i becząc przeraźliwie, popędziło w las.

To samo zrobił i Jankiel, skoro tylko z resztą towaru na ląd się wydostał.

Pozostewił szkapę z biedką i pobiegł gonić zbiega.

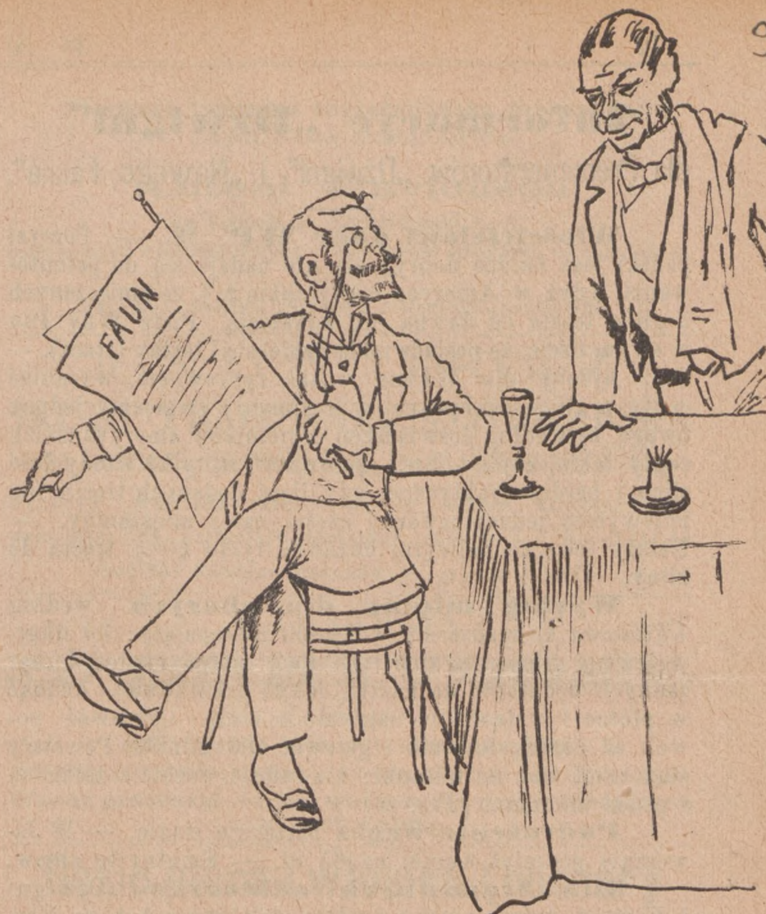
Jankiel był pewny, że biegnie po linii prostej, tymczasem była to linia tak dalece krzywa, że opisywała nieforemne koło i powracała do punktu, z którego była wyszła, to jest do pozostawionej biedki i szkapy nad rowem.

(Dokończenie nastąpi.)





— Słuchajno, — podobasz mi się, możebyś się zgodził za stróża do tego domu.
— Co też to pan ze mnie żartuje.
— Zkądże ci przyszło do głowy, że ja z ciebie żartuję?
— E! bo pan jakoś na żyda nie wygląda, a przecie we Lwowie to same żydy mają domy.



— Cóż to, czerwone wino takie u was drogie?
— Proszę pana, anilina podrożała...



— Ot i co! zakazała mi policya pobyt we Lwowie, a ja sobie przecie tu jestem — incognito!



— Powinnaś Maniu wyjść za Iksowicza: to istny Kupidynek.
— Ja właśnie wolałabym, żeby był kupi-domkiem.

Informacye „Dźwigni"

dla Prenumeratorów „Dźwigni" i „Nowego Fauna".

Właścicielowi dóbr WP. M. — Pomysł pański jest bardzo dobry; ale nie nadaje się do patentowania, gdyż w Ameryce cegły takie t. j. ze zmięszanych z gliną trocin od dawna już wyrabiają. Pisze Wny Pan w swym liście, że posiada małą cegielnię i tartak (tracz). — Otóż byłoby dla WPana wcale zyskownem, wyrabiać cegły z gliny, zmięszanej z trocinami; zwracamy jednak uwagę, że według doświadczeń cegielników amerykańskich cegły takie, czyli t. zw. „porowate" są tylko wtedy dość silne i bardzo praktyczne, gdy ilość dodanych trocin nie przewyższa jednej czwartej części całej mięszaniny. — Należy tedy co najwyżej dodawać tylko 20% trocin do gliny.

Wyciąg mięsny dla chorych według *Uffelmana* sporządza się w sposób następujący: 30 dkgr. wołowego mięsa bez łoju posiekać drobno, włożyć bez żadnych dodatków do flaszki, lekko zakorkować, owinąć w płótno i wstawić w naczynie z wodą. Ogrzewać powoli aż do zagotowania i gotować 30 minut. Powstały ztąd rosół zlać do filiżanki; nie cedząc, rozbić z żółtkiem i podać choremu. *(Prz. k.)*

Podrożenie węgla postępuje ciągle. — W Jaworznie podrożał węgiel na 65 ct. — Smutny to objaw.

Dla Szanownych odbiorców „Dźwigni i Fauna", *zalegających z zapłatą*, dołączamy do tego Nru. na osobnej kartce przypomnienie z uprzejmą prośbą, aby jak najrychlej należytość za I. kwartał b. r., wynoszącą 85 centów, nam nadesłali, gdyż w razie przeciwnym nie będziemy w stanie przesyłać im dalszych numerów.

Zmiany adresów: Sklep nożowniczy p. *Franciszka Kijowskiego* przeniesiony został z Bramy Andriolego do pasażu Hausmanna, obok fotoplastikonu; a pracownia krawiecka p. *Cyryla Dumyna* znajduje się teraz przy ul. Akademickiej L. 3.

Wyrobem i naprawą kufrów zajmuje się we Lwowie, pracownia kuferników p. *Franciszka Bittnera* przy ul. Krętej obok budowy hotelu Georgea.

Właścicielowi dóbr WP. L. oznajmiamy: *Szkoła zegarmistrzowska*, o którą nas WPan zapytuje, a w której uczą też mechaniki aparatów precyzyjnych, znajduje się w *Glashütte* pod Drezdnem w *Saksonii*; jeśli jednak syn pański jest tak wielkim, — jak się WPan wyraża — próżniakiem, że nawet 3ciej klasy gimnazyalnej ukończyć z dobrym postępem nie może — radzimy oddać go pierwej do którego z zacnych a zdolnych zegarmistrzów w kraju, a potem dopiero, gdy się wyzwoli, wysłać do Saksonii. Słusznie WPan postąpił oddając gospodarstwo najstarszemu synowi, jako agronomowi. — Z najmłodszego, gdy się wyuczy zegarmistrzowstwa, może być również bardzo pożyteczny obywatel kraju.

Otwarcie wystawy paryskiej nastąpi bezwarunkowo w niedzielę wielkanocną 15 kwietnia b. r. Tylko otwarcie dwóch gmachów zostanie odroczone, a to pawilonu armii i marynarki i zamku wodnego.

Centy i półcenty. Zwracamy uwagę na rozporządzenie ministra skarbu, że wymiana centów i półcentów została przedłużona do 30 czerwca b. r. Wymieniać można w centralnej kasie we Wiedniu i w głównych kasach krajowych.

Jak czyścić czarne koronki. — Najpierw należy je namoczyć w rozczynie octu, zmięszanego z letnią wodą. Po kilku godzinach moczenia wyciska się je, a potem znów dwa lub trzy razy moczy. Po wyciśnięciu kładzie się je do rozczynu octu z czystą gumą arabską, poczem po dokładnem wyciśnieniu układa się je na desce i odpowiednio wtykanemi szpilkami napręża. — Po wyschnięciu zdejmuje się je, nie prasując wcale, gdyż prasowanie koronkom szkodzi.

Nie chcesz się pan utopić — wybierając się w podróż do Egiptu — i zapytujesz nas o radę, w jaki sposób ułatwić sobie pływanie w razie rozbicia się okrętu. — Na to odpowiadamy: — Dotychczas używano t. zw. korkowych kamizelek, obecnie zaś — towarzystwo *Deutsches Sonnenblumgesellschaft in Berlin W.* wyrabia takie kamizelki z rdzenia olbrzymich słoneczników. O ile są praktyczne nie wiemy; ale próby miały podobno wypaść dobrze.

OGŁOSZENIA.

Ogłoszenia w „Faunie" kosztują: za całą stronicę 16 zł., — 1/2 str. 8 zł., — 1/4 str. 4 zł., — za 1/8 str. 2 zł. — za 1/16 str. 1 zł. — za 1/32 str. 1 koronę.

Dla prenumeratorów i korespondentów „Dźwigni", dla zamawiających więcej ogłoszeń, tudzież dla członków kraj. Tow. kupców i przemysłowców, udziela się 25 do 50 procent opustu. W numerach noworocznych, sezonowych i przedświątecznych policza się do 50% więcej — z powodu *znacznie zwiększonego nakładu.*

12

MENAZERYA LUDZKA.

I.



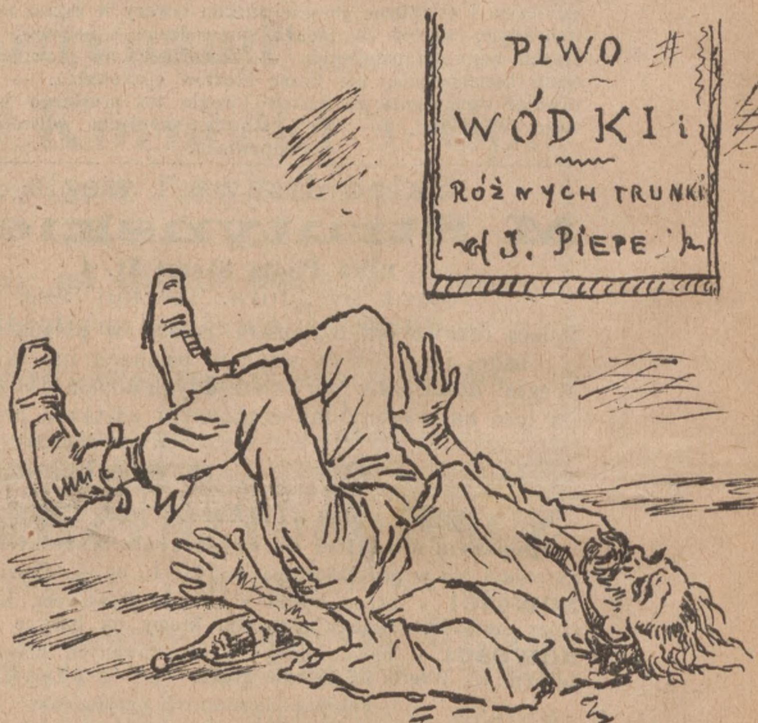
Orzeł i kury.



Słoń i mucha.



Wilk i owce.



Świnia.

Wydawca: **Zygmunt Korosteński.** Z drukarni Szczęsnego Bednarskiego we Lwowie, Rynek, L. 9. Redaktor odpowiedzialny: **Włodzimierz Tepa.**

LIT. A. PLUTTERA LWÓW.